Poul Anderson

Miesjonarze

(The Missionaries)

Other Worlds Science Stories, June and July 1951
Tłumaczenie Witold Bartkiewicz © Public Domain

Na koniec mszy, wielka maszyna za ołtarzem zaczęła zwalniać swoje obroty, aż w końcu zamarła. Skomplikowana ogromna konstrukcja z kół, trybów i żywego światła, które wydawało się skakać po nich w stale zmieniających się geometrycznych wzorcach, zastygła bez ruchu. Wywoływane przez nią drgania; muzyka złożona z dźwięków, infradźwięków i ultradźwięków, posiadająca nieznaną władzę nad ludzkim systemem nerwowym, zgasła w dzwoniącej w uszach ciszy.

Przez kilka chwil, poczucie straty było niemal nie do zniesienia. Carstairs przez całą ceremonię opierał się działaniu maszyny. Mówił sobie gwałtownie, raz za razem, że to tylko sztuczka wykreowana przez ich naukę. Oni sami zresztą tego nie ukrywali. Nazywali to środkiem, do integracji umysłu z Wielką Maszyną, której ta tutaj, była tylko symbolem. Jeśli ktoś się poddał, jeśli uwierzył, jeśli pozwolił aby wzorce światła, ruchu i drgań stłamsiły jego świadomość, ten mógł to poczuć. Mógł wiedzieć… mógł stać się częścią dzieła kosmosu i…

Bliżej, moja Maszyno, do Ciebie.

Carstairs rozejrzał się wokół siebie. W wielkiej katedrze było wielu podobnych do niego, mężczyzn i kobiet, którzy przyszli z ciekawości, zachęceni przez swoich nawróconych przyjaciół lub po prostu z powodu fundowanej przez kościół kolacji, która miała być później. Nie poddali się, chociaż wysiłek związany ze stawianym oporem wyraźnie był widoczny na ich twarzach. Ciężko oddychali i patrzeli wokół siebie oczyma, do których z wolna wracało poczucie rzeczywistości.

Inni, nawróceni na Maszynę, przepełnieni byli wielkością swej misji, a na ich twarzach widać było wyraz świętości, czegoś wykraczającego poza przestrzeń i czas. Byli oni, przez krótki i cudowny okres mszy, częścią wzorca odzwierciedlającego ostateczną rzeczywistość.

Każdy człowiek ma swą własną mistykę.

Carstairs wstrząsnął się gniewnie i przepchał się łokciami w stronę prezbiterium. Tłum powoli wylewał się z ciemnej, ogromnej budowli, niektórzy schodzili do piwnic, gdzie każdemu, kto miał chęć ją zjeść, wydawana była zwykła, suta kolacja. W powietrzu ciągle wisiała muzyka, ale to była tylko muzyka – dźwięk – i można ją było ignorować.

Duvamar Gerion stał przed prezbiterium, kłaniając się i uśmiechając do przechodzących obok członków swej kongregacji. Wyglądał bardzo ludzko, ubrany w białe, powłóczyste szaty – był ciemnoskóry, miał płaski nos i wygoloną głowę, ale wyglądał jak człowiek. Tubylcy z Vraicoru ewoluowali wzdłuż tej samego wzorca, co Ziemianie i – jak mówili – wszystkie inteligentne istoty na planetach typu ziemskiego.

Gdyby jeszcze można było polecieć i zobaczyć samemu – ale to było zabronione.

Niech ich diabli za to wezmą!

— Proszę mi wybaczyć, padre — poprosił Carstairs tak uprzejmie jak tylko był w stanie. — Chciałbym z ojcem zamienić kilka słów.

— Oczywiście — uśmiechnął się misjonarz. — Czy mógłbyś przyjść jutro i zobaczyć się ze mną przy…

— Teraz — szorstko oznajmił Carstairs. Wyciągnął swoją odznakę. — To oficjalna rozmowa. Reprezentuję władze miasta.

Nie po raz pierwszy wydało mu się, że zabrzmiało to, jak krzyki rozgniewanego dzieciaka. W każdej chwili Vraicoranie mogli zmieść to miasto, czy którekolwiek inne na Ziemi. Przybyli jako handlarze i misjonarze, i przestrzegali wszystkich albo większości miejscowych praw, było to po prostu ustępstwo człowieka mającego do czynienia gorszymi istotami. Biali podróżnicy w barbarzyńskich częściach Ziemi, także uznawali za wygodne, uprzejme traktowanie miejscowych tabu.

— Ach… tak. Tak, w rzeczy samej. — Brwi Geriona uniosły się. — A więc, w moim biurze, Grafricu… ach…

— Carstairsie. Panie Carstairsie.

— Oczywiście. — Gerion przeprosił tych, z którymi rozmawiał, i zaprowadził Carstairsa do małego, wygodnie umeblowanego pokoju na tyłach kościoła.

Wygląda jak zwykły gabinet, pomyślał Carstairs, ale po chwili uświadomił sobie nagle, że jednak nie. Ściany były zastawione książkami, ale miały one formę rolek mikrodruku, które można było wkładać do czytnika powiększającego. W wolnych miejscach wisiało kilka zdjęć z innych planet, z innych układów gwiezdnych, oraz symbol Maszyny, trzy niewielkie tryby, obracające się pod wpływem jakiejś niezrozumiałej energii otrzymywanej z maleńkiej lampy elektronowej. Ten sam symbol, w miniaturze, wisiał na szyi misjonarza.

— Proszę, niech pan siada — zaprosił przyjaźnie Gerion. — Przepraszam na chwilę, muszę zdjąć szaty liturgiczne. — Zrzucił je, pokazując czarne, gibkie ciało, odziane tylko w przepaskę biodrową, będącą zwykłym ubiorem Vraicoran. W nosie miał pierścień. Trudno wręcz było sobie wyobrazić, że to nie jakiś dzikus, że ten człowiek reprezentuje największą potęgę w znanym wszechświecie.

W ostatnim pokoleniu, misjonarze stali się tak powszechni na Ziemi, że ludzi traktowali ich obecność niemal jak coś oczywistego. Ale Carstairs czuł się oszołomiony myślą o tym, co rzeczywiście za tym stoi.

Gerion nalał do kieliszków wina, wspominając polecająco, że to naprawdę dobry rocznik, i zaproponował Carstairsowi doskonałe cygaro. Siedzieli i rozmawiali w zupełnie nieformalny sposób, aż w końcu Ziemianin przypomniał, że jest tutaj służbowo.

— **M**am nadzieję, nie naruszyliśmy żadnego prawa, ani zwyczaju — łagodnie powiedział Gerion. — Jeżeli tak się stało, to było to całkowicie niezamierzone i natychmiast postaramy się temu zaradzić. Może jakieś przepisy budowlane…?

— Nie. — Carstairs przypomniał sobie, jak gigantyczny budynek, stanowiący siedzibę misji w tym mieście, został zbudowany tydzień temu w ciągu kilku godzin, przy pomocy fantastycznych maszyn Vraicoran. — Wiemy, że wasze metody budowy są nawet bardziej rozsądne niż nasze.

— Dziękuję panu. Może ktoś z miejscowych władz pragnie oświecenia? Z największą chęcią przywitam go w domu i przedyskutuję z nim kwestie religijne.

— Nie. Chociaż… no cóż… — Wbrew sobie, Carstairs nie mógł powstrzymać się przed odbieganiem od tematu. Emocjonalny wpływ mszy, ciągle jeszcze oddziaływał na niego, śpiewając i hucząc mu w głowie oraz wszystkich nerwach. — To była moja pierwsza wizyta na ceremonii Maszyny — przyznał. — Ja… bardzo mnie to zadziwiło. Zawsze myślałem, że to po prostu kolejny kult, który akurat przywędrował do nas z gwiazd, zamiast rozwijać się na Ziemi. Być może nawet uważałem, że to jakiś sposób na podporządkowanie Ziemi Vraicor. W każdym razie, zanim jeszcze tutaj przyszedłem, sądziłem, że wpadnę tu tylko i zobaczę… Teraz, naprawdę się zastanawiam.

Gerion rozpromienił się.

— Raduje moje serce, kiedy słyszę jak pan to mówi. Każdy organizm doprowadzony do integracji z Wielką Maszyną, która jest Kosmiczną Całością, to kolejny krok przybliżający spełnienie Uniwersalnego Celu.

— Wszystko to brzmi dla mnie, jakoś tak, mgliście, a nawet – cóż – głupio. Dlaczego miałbym czcić maszynę?

— My nie czcimy maszyn jako takich, mój synu, tylko jako symbole Wielkiej Maszyny, bardziej upodobane przez Wielki Cel niż zwykłe organizmy.

— Czy chce pan przez to powiedzieć, że Wielka Maszyna jest… Bogiem?

— Proszę — Gerion delikatnie zmarszczył brwi. — Niech pan, pod żadnym względem, nie porównuje pogaństwa do prawdziwej wiedzy. Kosmiczna Całość reprezentowana jest w prawdziwej religii przez Wielką Maszynę. Najważniejszy sposób, w jaki możemy okazać szacunek to właściwe nastawienie do wszystkich maszyn, które są święte, jako że odzwierciedlają Cel.

— Ale dlaczego czcicie…?

— Ponieważ to prawda. Tym niemniej, jeśli chce pan poznać historię kultu, to mogę panu w skrócie powiedzieć, że planeta Vraicor była niegdyś bliska zniszczenia, przez kosmiczną katastrofę, której nie jest pan sobie w stanie nawet wyobrazić. Planeta i cała nasza rasa zostały ocalone tylko dzięki intensywnemu rozwojowi i zastosowaniu technologii – maszyn. Wtedy pojawił się Prorok, głoszący doktrynę, że zostaliśmy ocaleni, abyśmy mogli ponieść wiedzę o Celu po całym Wszechświecie i dzięki temu przybliżyć dzień jego realizacji.

Po chwili kontynuował:

— To właśnie teraz zachowuje się pan jak rozsądny człowiek. Czyż to nie oczywiste, że tylko jedność z Celem i z Maszyną mogła pozwolić nam na zbudowanie tych wszystkich wspaniałych maszyn, które pan zna –

statków kosmicznych, robotów, komunikatorów i innych? — Gerion pobożnie opuścił głowę i dotknął wiszących mu na szyi trybów.

— Zastanawiam się…

— Oczywiście, mówię z panem bardzo otwarcie i śmiało. Zwyczajny Ziemianin przyjmuje prawdy wiary nie myśląc o ich intelektualnej złożoności. Dla niego jedność z naszą Maszyną jest największym emocjonalnym doświadczeniem w kosmosie. Jednak ludzie bardziej inteligentni i wykształceni, tacy jak pan, widzą, że teologia Wielkiej Maszyny jest logicznie doskonała i nigdzie nie stoi w sprzeczności z odkryciami nauki i zdrowej filozofii.

Carstairs skinął głową. Wiedział trochę o subtelnej i złożonej konstrukcji wierzeń, jakie wytworzył kościół Maszyny, ale nie mógł się powstrzymać od złośliwego przytyku:

— Zdaje się, że istnieją pewne problemy odnośnie stanowisk doktrynalnych na samym Vraicorze?

— Proszę. — Tym razem Gerion wyglądał na zasmuconego. — Myśli pan o Zreformowanym Kościele Mechanicznym. Dysydencka i heretycka sekta, mój synu. To źle, że vraicorański rząd pozwala im na głoszenie ich szkodliwych doktryn, między poganami. Na szczęście dzięki nieuniknionej logice Celu, nie odnoszą oni jakichś specjalnie dużych sukcesów.

Carstairs skinął głową, chociaż pomyślał sobie, że ponure stroje i surowe reguły Reformatorów, mają więcej wspólnego z ich brakiem popularności, niż kwestie dogmatyczne. Jednak ortodoksyjna Mechanolatria, pozyskiwała neofitów milionami. I to, jak wskazał Gerion, we wszystkich klasach społecznych.

W tej chwili jesteśmy poganami, mieszkańcami zewnętrznych mroków. Najpierw przybyli odkrywcy i kupcy, twardzi ludzie zupełnie obojętni w stosunku do religii za to ogromnie zainteresowani robieniem pieniędzy. Mieliśmy z nimi wystarczająco dużo tarć, by nauczyć się zdrowego respektu dla vraicorańskiej broni. Dzisiaj handel odbywa się na rutynowych podstawach. Ziemia jest ekonomiczną jednostką we vraicorańskiej hegemonii, ale ciągle nominalnie jesteśmy niezależni. To misjonarze zajmują się naszą kulturalną asymilacją do Vraicor.

— Nie chciałbym pana ponaglać — powiedział Gerion, — ale muszę przewodniczyć kolacji w kościele. Jaką pan ma sprawę?

— Ach… no cóż… — Niech to diabli, jak tu sformułować, to po co przyszedłem. To brzmiało tak głupio, jak… — Padre, jestem z miejskiego departamentu zdrowia…

— Poprawnym tytułem jest Duvamar, panie Carstairs. — Uśmiech misjonarza był przyjazny, ale ukazywał on ostre zęby. — Niestety, nie da się go precyzyjnie przetłumaczyć. Mniejszy Tryb, to po angielsku nie brzmi dobrze. Z pewnością, departament zdrowia nie ma powodu do skarg? Nauki medyczne na Vraicor tak dalece wyprzedzają wasze, że…

— Och, to tylko pretekst. Przecież pan wie. Burmistrz jest zajadłym przeciwnikiem kościoła Maszyny. Kazał nam wyrzucić was z miasta przy pomocy każdych, nawet na wpół legalnych środków.

— Muszę porozmawiać z panem burmistrzem. Tacy uparci oponenci, kiedy już ich się nawróci, stają się najwierniejszymi mieczami kościoła. Dlaczego jest nam przeciwny? Z powodów religijnych?

— Nie, nie wydaje mi się. Jest po prostu jednym z ludzi, którzy zastanawiają się, do czego to wszystko prowadzi, dlaczego próbujecie nawrócić nas na waszą wiarę i jakie będą skutki nawrócenia się wszystkich Ziemian na obcą wiarę. Asymilacja kulturalna…

— Och, mój drogi panie — roześmiał się Gerion. — Nas nie obchodzą wasze miejscowe zwyczaje. Wszystkie one automatycznie staną się rozsądne, kiedy będziecie mieli w sobie prawdziwą wiarę. Z pewnością byłbym pośród ostatnich, którzy nalegaliby na odpowiednie ukształtowanie ziemskich standardów kosmetycznych, na przykład, włączając wypełnione zęby, jakie preferujemy u siebie.

— Tu chodzi o coś więcej. Nie możemy się przyzwyczaić do tego pomysłu z kultem maszyny.

— Mówiłem panu już wcześniej, że my nie czcimy maszyn. My je po prostu przyzwoicie traktujemy, i to wszystko. — Po raz pierwszy w oczach Geriona pojawił się wyraz prawdziwego oburzenia i zdecydowania. — To skandal, proszę pana, to oburzające, w jaki sposób wy Ziemianie traktujecie swoje maszyny. Oglądałem na własne oczy transport pojazdów, zniszczonych, rozbitych na kawałki, przez beztroskę ich użytkowników. Kiedyś nawet widziałem jak bestialski kierowca kopie swój samochód, kiedy ten nie chciał zapalić. I… przepraszam za wyrażenie… złomowiska! Maszyny pozostawione na dworze, żeby zardzewiały!

— To dlatego pobożni Vraicoranie wykupują złomowiska i odzyskują części maszyn?

— Tak, chociaż to jest równie bluźniercze, jak budowa kiepskiej maszyny, od początku. Jeżeli są one źle zaprojektowane, albo nieudolnie zbudowane, to zniewaga dla Wielkiej Maszyny, na obraz której je zrobiono!

— Nawet bardziej subtelne maszyny, jak sprzęt elektroniczny, są lżone i upadlane. Słyszałem kiedyś, transmitowane przez radio, ogłoszenia reklamowe i ordynarny śmiech! Kiedy Ziemia posiądzie prawdziwą wiarę, takie bluźnierstwo będzie nie do pomyślenia.

— Ziemia jest siedliskiem grzechu i pogaństwa. Przecież, już pierwszego dnia, kiedy tutaj wylądowałem, pełen nadziei i zapału, widziałem wypadek. Zderzyły się dwie piękne lokomotywy. Leżały one, poranione, połamane, para z sykiem wylatywała z ich biednych wnętrzności, a tłum paplających pogan, nie zwracał na nie żadnej uwagi. Zamiast tego, wynosili stamtąd jakieś ciała, kompletnie bezużyteczne zwłoki. Pozwolili nawet, by krew kapała, po całych lokomotywach! Dostałem mdłości! Niemal poddałem się rozpaczy, ale Wielka Maszyna umocniła moją wolę i… — głos Geriona ponownie stał się łagodny i grzeczny — moje wysiłki, podejmowane od tej pory, nie pozostały tak zupełnie bez nagrody. Osiągnąłem nawet pewne sukcesy w namawianiu

waszych głupich, małych, oddzielnych narodów, aby utworzyły efektywną organizację światową, która może na zawsze zakończyć wojny.

— To prawda… wasz kościół nienawidzi wojen, nieprawdaż?

— Oczywiście. To jest podłe nadużycie maszyn. Ich liczba zniszczonych, czy w jakiś sposób uszkodzonych, jest niewiarygodna.

— Czy życie was zupełnie nie obchodzi?

— Oczywiście, że obchodzi. Organizmy są też częścią Celu. To istoty inteligentne zbudowały maszyny na różnych planetach. To istoty inteligentne będą im służyć i ulepszać je w przyszłości. Prawdę mówiąc, mamy więcej szacunku dla życia, niż wy, z waszą atawistyczną zgodą na nadmierne rozmnażanie się gorszego materiału ludzkiego. Jak macie zamiar ulepszyć swoją rasę, bez celowych działań w tym kierunku? Dopóki nie staniecie się jak maszyny, nie możecie służyć Celowi.

— Ja… rozumiem…

— Kiedy wystarczająco wielu Ziemian zostanie wierzącymi — mówił dalej żarliwie Gerion, — wiedza naukowa Vraicoru stanie przed wami otworem. Będziecie mieli statki kosmiczne, pod-wymiarowe komunikatory, promienie energetyczne, roboty, wszystko co mamy będzie również i wasze. Ale… nie dopóki nie będzie można wam zaufać, że traktujecie maszyny z należnym im szacunkiem!

— Tak… — Carstairs szukał w myślach odpowiednich słów. Wysłuchana tyrada, zaparła mu nieco dech w piersiach. — Tak…

— Proszę mi wybaczyć, ale już jestem spóźniony na kolację. — Gerion ponownie był czystą życzliwością, żarliwie starając się być miły. — Jeżeli opisze pan swoją sprawę, jestem pewien, że uda nam się porozumieć.

Carstairs zebrał swe rozproszone myśli.

— To właśnie dotyczy tych kolacji — powiedział, rumieniąc się na twarzy. — Zarówno pan, jak i ja wiemy, że to czysto techniczna kwestia, ale istnieją pewne przepisy odnośnie jedzenia w publicznych miejscach. Muszę wiedzieć więcej na temat tych posiłków. Po prostu, co one zawierają.

— Oczywiście, głównie syntetyki. Korzystamy także z kilku pochodzących z Ziemi owoców, warzyw i podobnych produktów. Jednak mięso, które obecnie jest podawane w tym kościele, pochodzi z samego Vraicora. To była część z dostawy dla naszej bazy wojskowej w układzie Alfa Centauri. Ponieważ okazało się, że zamówienie było większe od potrzeb, nadwyżki zostały przewiezione na Sol i udało mi się kupić je bardzo tanio. — Gerion uśmiechnął się smutno. — Misjonarz musi dbać o ekonomikę swojego działania, panie Carstairs. Nie jesteśmy zbyt bogaci.

— Tak… mięso spoza Układu Słonecznego. To oznacza z zagranicy, i obowiązują tu ściśle określone przepisy. Dokładniej mówiąc, jakiego rodzaju to jest mięso, Duvamar?

— Absolutnie zdrowi skazańcy. Oczywiście, byli oni umysłowo, albo fizycznie upośledzeni. Nie można było pozwolić, aby się rozmnażali, a marnowanie zasobów na utrzymywanie nieużytecznych członków

społeczeństwa, byłoby grzechem. Jednak wszyscy mieli certyfikaty, że są wolni od wszelkich chorób.

Carstairs jęknął i chwycił się za nagle wirującą mu głowę.

— Chce pan powiedzieć… że to Vraicoranie… — słowa utknęły mu w gardle. — Wy zjadacie gorszych ludzi…

— Ależ oczywiście, mój drogi panie — Gerion był szczerze zdumiony. — To byłby grzech przeciwko Celowi, marnować to całe dobre mięso. — Pokręcił głową, ze smutkiem. — Ale zapomniałem, że Ziemia to ciągle dzika planeta. Jeszcze nie jesteście kanibalami.

KONIEC